

Niezwykłe dla mnie szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że udało mi się uniknąć obozu pruszkowskiego i wieczorem 16 października znalazłem się u rodziny w Podkowie Leśnej.

IV. AKCJA PRUSZKOWSKA

Od żony dowiedziałem się zaraz, co się dzieje w popowstaniowej stolicy Polski — między Pruszkowem, Podkową Leśną, Brwinowem i Milanówkiem. Żona wraz z dziećmi i później mą Matką, która — wywieziona pod Częstochowę — dotarła do Podkowy, zajmowała pokój z kuchenką na pierwszym pięterku willi Mieszkowskich. Gdy pierwsi uchodźcy zjawili się z Warszawy, zorganizowała u siebie punkt dokarmiania. Przybywali krewni, przyjaciele i znajomi, którym trzeba było dopomagać. Mieszkowscy ze swych trzech pokoiów zatrzymali dla siebie jeden, a reszta mieszkania była przepełniona warszawiakami. W chwili mego przybycia mieszkało tu przeszło 50 osób. Dla arch. Bieńkuńskiego znalazło się miejsce już tylko na podeście schodów, a siostra żony nocowała na słomiance psa. Tak było prawie we wszystkich domach podkowieńskich. Bieńkuńskiego żona uprzedzała:

— Jak ktoś w nocy będzie szedł po schodach, niech pan czeka, żeby pana nie rozdeptali.

Radio było schowane pod budą psa, którą ustawiono pod oknem. Wieczorami wtajemniczeni słuchali wspólnie audycji z Londynu. Do białej pasji doprowadzał wszystkich chorał *Z dymem pożarów*, bo dla nas Powstanie to nie był „jęk ostatni”. Starsza moja córka, Irenka, wówczas kilkunastoletnia, była posługaczką w doraźnym szpitalu w Podkowie Zachodniej w willi inż. Tadeusza Baniewicza. Po powrocie Baniewicza z Warszawy córka ich, Krystyna, obecnie Kazimierzowa Michałowska, była w tym szpitalu sanitariuszką.

Pierwszą wiadomość o mnie otrzymała żona od woźnego Muzeum, Kazimierza Małaczewskiego, który — ranny — wyprowadzony był w połowie sierpnia z Muzeum i dostał się zaraz do Podkowy Leśnej. W początkach września rozeszła się wiadomość, że zostałem rozstrzelany. Podobno mój nekrolog był w którejś z gazet powstańczych. Jeden z naszych znajomych, który był przeprowadzony przez Muzeum przed wyjściem z Warszawy, spotkał moją żonę i powiedział, że w Muzeum mnie nie widział, bo — jak mu powiedziano — nie żyję, co zresztą wie z nekrologu, który czytał. Żona powiedziała mu, że to nieprawda i żeby tego nie powtarzał nikomu, bo bała się, że to dojdzie do dzieci, a była absolutnie przekonana o fałszywości tej informacji. Następnego dnia żona stwierdziła, że jedna ze znajomych, właścicielka kawiarni-jadłodajni, p. Suchecka, odnosi się do niej ze specjalną serdecznością. Zapytała od razu:

— Aha, to był tu pan X.

Po potwierdzeniu poprosiła p. Suchecką, by zawiadomiła p. X, że jeśli to komuś jeszcze raz powtórzy, publicznie go pobije. Pana X żona już w Podkowie więcej nie spotkała.

Od chwili upadku Powstania i kapitulacji do żony coraz to zgłaszał się ktoś z mych zespołów lub działaczy kulturalnych, podając swój adres i zapytując o mnie. W początku października zjawił się w Pruszkowie Schellenberg. Wybrała się do niego kilkuosobowa delegacja razem z moją żoną, by omówić losy warszawskich zbiorów. Od niego dowiedziała się, że żyje i jestem w Muzeum. Schellenberg obiecał zawiadomić mnie, że żona i dzieci żyją, ale oświadczył, że nic pomóc nie może, bo już wyjeżdża. Tymczasem napływać zaczęły wiadomości o rozpoczętej akcji systematycznego niszczenia Warszawy. W coraz to większym napięciu dyskutowano nad tym, jakie kroki należy przedsięwziąć.

Natychmiast po moim przybyciu do Podkowy daliśmy o tym znać najbliższemu zamieszkałemu. Już 17 czy może 18 października w gronie kilkunastu osób spotkał się w Pruszkowie, o ile pamiętam w pomieszczeniu Rady Głównej Opiekuńczej, co było najbezpieczniejsze, bo działała oficjalnie. Sytuacja wyglądała beznadziejnie. Oczywiście, Niemcom nawet nie przychodziło do głowy realizować postanowienia umowy kapitulacyjnej, dotyczącego ochrony mienia kulturalnego. Ustaliliśmy, że należy: 1) wszystkimi drogami starać się o zabezpieczenie pozostałości muzeów, bibliotek i archiwów; 2) ponieważ w świetle wypadków okazuje się, że Niemcy nie tylko nie ochraniają, ale rozmyślnie niszczą polskie zabytki i zbiory, trzeba nawet proponować wywóz zbiorów i dzieł sztuki do Niemiec i w tym współdziałać, bo wtedy mamy szansę ich rewindykacji; 3) ponieważ ani przez Schellenberga, ani pośrednimi drogami nie uda się uzyskać zgody, trzeba szukać kontaktu bezpośrednio z gubernatorem Fischerem, który rezydował w Sochaczewie, albo z gen. SS i żandarmerii Geiblem, którego siedziba mieściła się w Ożarowie w dworku należącym do prof. Reichera. Ustalono, że mam objąć kierownictwo całej akcji przy współpracy kierowników i uczestników współdziałających ze mną zespołów z czasów okupacji oraz innych osób, których pomoc byłaby pożyteczna.

Musiałem więc najpierw przezwyciężyć pierwszą trudność i zetknąć się bezpośrednio z Fischerem lub Geiblem. Sądziłem, że jedyna droga do nich prowadzi przez Radę Główną Opiekuńczą, mianowicie przez jej kierowników, Stanisława Wachowiaka i Janusza Machnickiego. Nawiązałem kontakt z wiceburmistrzem Stanisławem Podwińskim, przedwojennym dyrektorem Departamentu Samorządowego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, a po aresztowaniu i rozstrzelaniu na Palmirach w r. 1940 wiceprezydenta miasta Jana Pohoskiego — zastępcą burmistrza Juliana Kulskiego. Mieszkał on w rejonie Pruszkowa. Skomunikowałem się równocześnie z Wachowiakiem i Machnickim. Po dokładnym omówieniu sprawy zgodzili się starać dla mnie o spotkanie z Fischerem i Geiblem. W następnych dniach nawiązywałem dalsze kontakty z przedstawicielami nauki,

sztuki i kultury, zbierałem wiadomości o tym, co się dzieje w Warszawie, i spotykałem się z osobami, które zamierzałem wciągnąć do akcji ratowania warszawskich dóbr kultury. Wieści dochodziły nas straszne. 15 października Arnhardt, znany mi z terenu Muzeum Narodowego, spalił Bibliotekę Krasińskich i bezcenne skarby — w tym Bibliotekę Załuskich — które się tam znajdowały. 25 października spalono Archiwum Miejskie. Wyszczono w powietrzu pomnik ks. Józefa Poniatowskiego. Takie i tym podobne wiadomości otrzymywaliśmy z Warszawy. Wreszcie przez Wachowiaka i Machnickiego zostałem zawiadomiony, że mam razem z nimi udać się na spotkanie z Niemcami, wyznaczone na 1 listopada w tzw. Räumungsstanie przy ul. Wolskiej. Oba budynki Räumungsstabu i obok Sonderkommando Gestapo z bestialskim szefem, kapitanem nazwiskiem bodaj Schultze, tak dobrze znane warszawiakom, stoją do dziś.

Pojechaliśmy samochodem, który miało do dyspozycji RGO. W Räumungsstanie zostaliśmy wprowadzeni do dużego pokoju, gdzie już siedzieli Fischer i Geibel, Schellenberg — który, jak się okazało, nie wyjechał, lecz zatrzymany został w Dystrykcie w Sochaczewie — i jeszcze sporo oficerów. Fischer rozpoczął od tego, że mają już przedstawioną sprawę, o którą zabiegam, i chce, bym ją zreferował szczegółowo. Mówię po niemiecku bardzo średnio, ale w przejęciu i podnieceniu, w napięciu nerwów chwilą, która o wszystkim miała zadecydować, przemawiałem — jak potem twierdzili Wachowiak i Machnicki — doskonałą i bardzo akademicką niemczyzną. Wystąpienie zresztą obmyślałem sobie od momentu, gdy zostałem zawiadomiony, że spotkanie dojdzie do skutku. Argumentacja moja brzmiała mniej więcej następująco:

Wiemy, że ze względów wojskowych są burzone i palone różne gmachy w Warszawie. W bibliotekach, archiwach i muzeach znajdują się jeszcze niezliczone dzieła sztuki, starodruki i materiały o bezcennej wartości nie tylko dla Polski, ale dla kultury europejskiej w ogóle. Posiadają one nie tylko wielką wartość kulturalną, ale też ogromną wartość materialną. Ich zniszczenie byłoby nie powetowaną szkodą nie tylko dla Polski, ale i dla Niemiec. Czy nie można by tych kilku gmachów wyłączyć i zabezpieczyć? W okolicach Warszawy znajduje się sporo pracowników tych instytucji, którzy gotowi byliby do nich powrócić i objąć opiekę nad zbiorami.

Odpowiedź była grzecznie, lecz kategorycznie odmowna, z wyjaśnieniem, że na to nie pozwalają warunki wojenne. Warszawa jest na linii frontu. Wszystkie budynki muszą być w najbliższym czasie zburzone i o żadnych wyłączeniach nie może być mowy.

Sformułowałem wówczas drugą propozycję — wywozu najcenniejszych zbiorów na teren Polski, a gdyby to było niemożliwe — na teren Niemiec. Zgłosiłem gotowość wykonania tych prac przez polskich pracowników, którzy doskonale znają zbiory swych instytucji. Ta propozycja zainteresowała Fischera i Geibla, którzy wyraźnie jej oczekiwali. Zażądali, bym bliżej określił, jakie zbiory uważam za tak bezcenne. Na to pytanie byłem przygotowany i dlatego od razu za-

cząłem w superlatywach mówić o zespołach zbiorów z różnych instytucji. Musiało to być przekonujące i budzić zaufanie, bo rozmowa bardzo się ożywiła. Wystrzegałem się tylko, by nie określać zbyt dokładnie, co i gdzie się znajduje.

Nastąpiło pytanie, ile potrzeba czasu i ile wagonów kolejowych na wywóz tych najcenniejszych zbiorów. Odpowiedziałem, że chyba paru miesięcy i co najmniej kilkudziesięciu wagonów. Rozpoczęła się rozmowa między Niemcami. Zorientowałem się, że w zasadzie z góry już zadecydowano, by tego typu propozycję przyjąć, bo wśród oficerów byli m.in. przedstawiciele władz kolejowych, odpowiadający na zapytania w sprawie taboru kolejowego.

W rezultacie tych narad i pewnie wcześniejszych postanowień Geibel oświadczył mi, że wraz z Fischerem wyraża zgodę pod następującymi warunkami: 1) prace przeprowadzą Polacy, ale pod nadzorem wydelegowanych do tego celu specjalistów niemieckich; 2) zbiory wywiezione będą do Niemiec, przy czym od chwili załadowania do wagonów kolejowych w Warszawie przejmują je wyłącznie pracownicy niemieccy; 3) cała akcja zostanie wykonana w ciągu 2 tygodni. We wstępnych sprawach organizacyjnych miałem porozumieć się z Schellenbergiem, a później pozostawać w kontakcie z wydelegowanymi niemieckimi specjalistami. W następnych dniach dowiedziałem się, że Schellenberg będzie sprawował nadzór nad pracami muzealnymi, Abb — bibliotecznymi, a Branig — archiwalnymi. Codziennie o godz. 6 rano mam być z polskimi pracownikami w Pruszkowie. Stamtąd będą nas zabierały do Warszawy samochody ciężarowe, a przy Räumungstabie każda z grup otrzyma żandarmskich „Begleiterów”. Ja — dla koordynowania prac na terenie Warszawy — będę mógł korzystać z żandarmskiego samochodu osobowego. Powracać będziemy przed zmrokiem.

Tak wyglądały później warunki pracy do końca naszej akcji. Przy Räumungstabie odbywała się rewizja, czy czego nie wywozimy.

Cała nasza grupa kierownicza wraz z wiceprezydentem Podwińskim czekała na mój powrót z konferencji w Pruszkowie. Ustaliliśmy zasady organizacyjne i omówiliśmy metody pracy. Zorganizowaliśmy się w następujące zespoły: 1) Muzeum Narodowe, 2) Biblioteka Narodowa, 3) Biblioteka Uniwersytecka, 4) Archiwum Główne, 5) Muzeum Zoologiczne. Pracownicy Państwowego Muzeum Archeologicznego znaleźli się w zespole Muzeum Narodowego, bo tu zdeponowane były ich zbiory. W miarę rozwoju akcji przybywały nowe zespoły, m.in. pracowników Hipoteki, księży ewakuujących zbiory z Seminarium Duchownego przy kościele Karmelitów na Krakowskim Przedmieściu itd. Zmierzałem świadomie w tym kierunku, by jak najbardziej rozszerzać naszą akcję. Zarząd Miejski w osobie wiceprezydenta Podwińskiego zobowiązał się organizować pomocnicze zespoły, które by dopomagały w pracy niedostatecznym liczebnie grupom pracowników fachowych. Wspominam z wdzięcznością tych prawie 200 obywateli, wśród nich wielu kolejarzy, którzy przeszło 2 miesiące z nami współpracowali i tak skutecznie przyczynili się do ratowania polskiego mienia kulturalnego. Wszyscy

współpracownicy otrzymywali zaświadczenia potwierdzane przez Niemców. Zaświadczenia te były podpisywane przez jakiegoś niemieckiego urzędnika w Pruszkowie i opatrywane pieczęcią z tak zwaną przez nas wroną. Nie mogę sobie przypomnieć, jaki to był urząd. Miałem sporządzać listy współpracowników i przedstawiać je temu urzędnikowi. Nigdy jednak takiej listy nie złożyłem. Obiecywałem zawsze, że na drugi dzień, tłumaczyłem, że byłem bardzo zajęty itp. Sytuację ułatwiały mi doskonałe osobiste stosunki z podpisującym i pieczętującym urzędnikiem. Dopytywałem się o jego rodzinę, daty urodzin, z różnych okazji składałem mu prezenty — zwykle z wódki i gęsi — i weszliśmy w dobrą komitywę. Liczba zaświadczeń mnożyła się i osiągnęła niedługo liczbę kilkuset. Uzyskiwałem je dla uczonych i artystów, którzy w rzeczywistości nic wspólnego nie mieli z naszą akcją, a potem i dla różnych działaczy podziemia. Były one bardzo poszukiwane, bo chroniły przed łapankami, także na kolejce EKD. Nie można było skontrolować liczby zaświadczeń ani ustalić, kto je otrzymywał, bo nie było żadnych wykazów. W pewnej chwili urzędnik jednak zaniepokoił się, że jakoś liczba zaświadczeń, które potwierdza, wydaje mu się zbyt duża. Uspokoilem go, tłumacząc tym, że ludzie chorują, wyjeżdżają gdzie indziej i umierają, muszą więc mieć nowych na ich miejsce. Po pewnym czasie Geibel zarządził, że on sam podpisywać będzie zaświadczenia. Zanotował w swym dzienniku prof. Borowy, że otrzymał ode mnie 9 stycznia podpisaną przez Geibla nową przepustkę, ważną do 31 marca 1945 r. Zanotował też wtedy, że Geibel rozmawiał ze mną i okazał się bardzo „życzliwy”. Oferował mi nawet do wywozu kolumnę Zygmunta III. Później — w czasie swego procesu w Warszawie w r. 1946 — Geibel powoływał się m. in. na swą życzliwość dla kultury polskiej, okazaną po Powstaniu. Udało mi się załatwić z nim osobiście parę spraw bardzo pomyślnie. Niedługo po rozpoczęciu naszej akcji zgłosiłem się do niego do Ożarowa i zakomunikowałem, że z wielką trudnością prowadzimy prace w Muzeum, bo brak nam dwu specjalistów, którzy znajdują się od czasu Powstania w obozach: konserwatora Bohdana Marconiego i kustosza Stanisława Gebethnera. Prosiłem, by mógł ich wyreklamować. Niespodziewanie szybko wrócił na skutek tej reklamacji Marconi. Gebethner zjawił się w Podkowie Leśnej 16 stycznia przed wieczorem! Spotkaliśmy go na ulicy, gdy nas poszukiwał, i zabraliśmy do domu. Rozpoczęła się akcja ratownicza, ale już w stosunku do niego, bo trzeba go było intensywnie odkarmiać.

Znacznie trudniej było uzyskiwać odraczania terminu końcowego akcji. Zawsze prosiłem przez niemieckich naukowych nadzorców, a parę razy w krytycznych momentach i osobiście, o tydzień lub dwa tygodnie. Niemieczy kontrolerzy bardzo mnie popierali. Obawa przed frontem dominowała nad wszystkim. Geiblowi do Ożarowa dowoziłem, jadąc w tych paru najważniejszych okolicznościach, oczywiście nie wódkę i gęsi — jak w przypadku żandarmów — lecz do dekoracji mieszkania obrazy niemieckie z XIX w. wybrane z magazynów Muzeum. Nie posiadały one większej wartości artystycznej, ale za to przedstawiały ulubione przez Niemców tematy: sceny rodzajowe, polowania, sentymentalne krajobrazy.

Z pewnym zażenowaniem wymienię wśród nich i akty kobiece. Dla usprawiedliwienia dodam, że był to symboliczny rewanż za programowe demoralizowanie społeczeństwa polskiego w czasie okupacji. Data na zaświadczeniu dla prof. Borowego — 31 marzec 1945 r. — świadczy, że kateryczny termin dwu tygodni udało się przeciągnąć niemal w nieskończoność. Gmachy naszych instytucji nie zostały wysadzone w powietrze. Zbiory uratowaliśmy przed Brandkommando, którą kilkakrotnie przepędzaliśmy od każdej z tych instytucji, w oparciu o opiekę żandarmów i niemieckich kontrolerów. Możemy chyba z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że tylko dzięki naszej akcji pruszkowskiej uratowane zostały: Muzeum Narodowe, Biblioteka Narodowa, Biblioteka Uniwersytecka, archiwa, Muzeum Zoologiczne, Hipoteka.

Prócz kierownictwa całą akcją opiekowałem się bezpośrednio pracami w Muzeum Narodowym. W Bibliotece Narodowej kierował akcją dyr. Józef Grycz przy współpracy wicedyr. Mariana Łodyńskiego, w Bibliotece Uniwersyteckiej — prof. Wacław Borowy przy współpracy dr Tadeusza Makowieckiego, dr Bohdana Korzeniewskiego i in. Grupą archiwistów kierował dyr. Witold Suchodolski. Ustaliliśmy, że każdy z zespołów ma nie tylko wykonywać prace w swej instytucji, ale też w miarę możliwości starać się ocalić najcenniejsze zbiory, znajdujące się w pobliżu gmachu, w którym pracował. Nie było to łatwe, gdyż wydalenie się poza te gmachy było absolutnie zakazane, a każdego zespołu prócz niemieckich uczonych pilnowali żandarmi. Nadzór niemieckich specjalistów niewiele jednak przeszkadzał w prowadzeniu akcji według obmyślonego planu. Ze względu na straszliwe warunki pracy, w czasie silnych mrozów, w pomieszczeniach nie tylko nie opalanych, ale i nie oszklonych, bardzo często uchylali się oni od przyjazdów do Warszawy. Trzeba natomiast było unieszkodliwić żandarmów. I to nie okazało się niemożliwe. Wybieraliśmy dla nich nieduże pokoiki, nazywając je wartowniami, opatrywaliśmy okno i dostarczaliśmy dużej ilości wódki i wędlin, które w tym celu przywoziliśmy. Jeden z członków zespołu, dobrze znający język niemiecki, występował w charakterze gospodarza. Jego zadaniem było też uprzedzanie, kiedy żandarmi wybierają się na obchód. Demoralizacja naszych „Begleiterów” nastąpiła szybko. Woleli siedzieć w dość ciepłym pokoiku i gawędzić, a jeśli wyruszali na obchód, to już wzmocnieni wódką i traktowali swą kontrolę jako formalność. W Muzeum Narodowym wartownia mieściła się w małym pokoiku pod schodami przy wielkim hallu, oddalonym od miejsc pracy. Gospodarzem był najczęściej prof. Jan Cybis, doskonale mówiący po niemiecku.

Po raz pierwszy wyruszyliśmy do Warszawy w pełnej ekipie 7 listopada. Do mych obowiązków należało m.in. rozdzielanie w Pruszkowie pieniędzy, które otrzymywałem z różnych źródeł, głównie z RGO i od polskiego Zarządu Miejskiego. Szczegółowe rozliczenia, teraz już oczywiście z nazwiskami, składałem na piśmie na ręce wiceprezydenta Podwińskiego. Nie pamiętam już tylko, jak za tytułowana była rubryka — „wydatki ogólne” czy „wydatki specjalne”. Z tej pozycji pokrywane były wydatki na wódkę, wędliny i prezenty dla „Begleiterów”,

naszych naukowych niemieckich kierowników i inne niemieckie osoby, które należało życzliwie ustosunkować do naszej akcji. Nie przypominam też sobie, jak brzmiał tytuł rubryki, w której notowane były wydatki na drugi, nielegalny tor naszej akcji. A były to wydatki czasem dość duże, zwłaszcza na opłacanie niemieckich samochodów ciężarowych dla nielegalnych wywozów z Warszawy do rejonu Podkowy Leśnej i dalej.

Sprawozdania z akcji pruszkowskiej i jej rezultatów w różnych działach były już ogłaszane i są też tematem wspomnień w tym tomie, dlatego nie będę do nich powracał. Ograniczę się tylko do informacji o akcjach nielegalnych, a najprzód jeszcze dodam, że zgodnie z uchwałą żadnemu z naszych współpracowników nie wolno było z Warszawy wywozić nic, co nie wiązało się z naszą akcją, nawet rzeczy osobistych, bez specjalnego zezwolenia mojego w wyjątkowych wypadkach. Taką uchwałą podjęliśmy, by zachować czystość akcji, przestrzegając jej kategorycznie dlatego, że mnożyły się wypadki wywożenia nie tylko własnego mienia, ale też tzw. szabru, oczywiście poza naszą ekipą.

Głównym odcinkiem akcji nielegalnej kierowali dr arch. Jan Zachwatowicz, dr Stanisław Herbst i dr arch. Bohdan Guerquin. Dysponowali oni przepłaconym niemieckim samochodem ciężarowym. Wywieźli m. in. bezcenne zbiory warsavianów B. W. Korotyńskiego i zbiory zdjęć pomiarowych zabytków architektonicznych, w tym warszawskich, z Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej. Nastąpiło to niemal w ostatniej chwili przed spaleniem gmachu przez Brandkommando. Zdjęcia pomiarowe były potem bezcennym materiałem przy odbudowie Warszawy. Zbiory wywożono do Podkowy Leśnej, Pruszkowa i Brwinowa. W Brwinowie urządzono składnicę w remizie Straży Ogniowej. Z biegiem czasu nagromadziło się tyle materiałów, że nasze składnice były przepełnione. Sygnalizowano nam też, że składnica w remizie Straży Ogniowej w Brwinowie zwraca uwagę i może być zdekonspirowana. Trzeba było szukać pomieszczeń gdzieś dalej. Nie pamiętam, kto nawiązał nam kontakt z klasztorem bernardyńskim w Piotrkowie. Zgodzili się nasze materiały, w tym plansze architektoniczne, schować w podziemiach w trumnach. Naszą niemiecką ciężarówką wywoził je z Brwinowa Bohdan Guerquin. Trochę wzmacnialiśmy się przy pożegnaniu i dość żywiołowo zegnaliśmy Guerquina, siedzącego bodaj na pakach, który machając czapką — jeśli dobrze sobie przypominam — wydawał okrzyki patriotyczne.

Dla nawiązania kontaktu z Krakowem udał się tam dyr. Witold Suchodolski z prof. Włodzimierzem Antoniewiczem. Niewiele z tego wyszło. A w naszych warszawsko-pruszkowskich ekipach trzeba było często rozwiązywać skomplikowane problemy. Pewnego dnia na rogu Alej Jerozolimskich i Nowego Świata, gdy grupa muzealna, zdążająca do pracy, dostała się pod ostrzał z Pragi, został ranny w kolano Jan Morawiński. Odwiedzałem go potem w Zalesiu, dokąd został przewieziony.

Mogłem łatwiej niż inni poruszać się po mieście, bo — jak już wspomniałem — wolno mi było krążyć między punktami naszej oficjalnej działalności w żandarmskim

samochodzie osobowym z żandarmem-kierowcą. O to w dużym stopniu oparłem metodę mej osobistej akcji specjalnej. Kierowca, piekarz z Wuppertal (nazwiska nie pamiętam), był żandarmem nie zawodowym, lecz z wojennego naboru. Był naiwny i dość dobroduszny. Rozmawiałem o jego kłopotach rodzinnych, o piekarni, żonie i dzieciach. Pewnego dnia, gdy stosunki między nami ułożyły się pomyślnie, ofiarowałem mu wódkę, kielbasę i gęś, wmawiając, że to jego imieniny, czemu początkowo ze zdziwieniem przeczył. Potem doręczyłem mu obficie zaopatrzoną paczkę żywnościową dla rodziny jako wyraz wdzięczności za jego trudy w naszej działalności. Ogniwem między nami stały się systematycznie doręczane paczki z żywnością. Już sam teraz co pewien czas informował mnie o uroczystościach rodzinnych, co oznaczało, że spodziewa się następnej paczki. Wódkę wypijał z kolegami, co wytworzyło ich życzliwy stosunek do mnie. Żywność wysyłał do Wuppertal. Dał mi wyraźnie do zrozumienia, że najchętniej widziane są gęsi.

Gdy tylko ułożyły się stosunki między nami, zacząłem co pewien czas zjeżdżać z oficjalnych tras. Komunikowałem zawsze, że mam specjalne zlecenia od gubernatora i od gen. Geibla. W atmosferze wzajemnego zaufania i korzystnych tego wyników żandarm nie kontrolował mych dezyderatów. Jeździł ze mną coraz dalej, potem nawet na Żoliborz, aż do ostatnich dni akcji pruszkowskiej. W ten sposób miałem możliwość wynajdywania i wywożenia z Warszawy cennych dóbr kultury, których uratować inną drogą nie było można. Tak w ciągu 2 miesięcy dotarłem do kilkudziesięciu punktów na terenie całego miasta. Wymienię kilka przykładów, które lepiej utkwily mi w pamięci. Niestety, wszystkie materiały pisemne z tym związane zapodziały mi się gdzieś w wirze prac w pierwszych latach po wyzwoleniu, bardzo wiele zapomniałem i czasem niespodziewanie przypominają mi jakieś zdarzenia znajomi, którzy kontaktowali się ze mną osobiście lub listownie. Bo dość szeroko rozeszły się wiadomości o mych możliwościach, a wskutek tego żona — bo mnie nie było całymi dniami — przyjmowała zgłaszających się do willi Mieszkowskich interesantów i odbierała coraz to obfitszą pocztę. Stała się nieoficjalną sekretarką mej bocznej akcji ewakuacyjnej. W ciągu 2 miesięcy wpłynęło setki zgłoszeń z adresami punktów, w których ukryte były rękopisy, dzieła sztuki, archiwalia, często z planikami piwnic, gdzie je schowano. Chodziło naturalnie o wywiezienie wskazanych obiektów i zespołów do Podkowy i przekazanie właścicielom. Musiałem oczywiście dokonywać selekcji zgłoszeń. Wybierałem do realizacji te, które uważałem za ważne dla kultury i możliwe do wykonania. Zdarzały się i zgłoszenia kosztowności, złota lub dolarów z propozycją wynagrodzenia za wywóz. Takie zgłoszenia od razu odrzucaliśmy.

Chyba jeden z pierwszych zgłosił się do mnie prof. Ludwik Kolankowski, dyr. Biblioteki Zamoyskich. Miałem wywieźć z Biblioteki dzieła bezcenne: tzw. *Mszał tyniecki*, *Kronikę* Galla oraz rękopis *Krzyżaków* Sienkiewicza i *Faraona* Prusa. Szczęśliwie mi się to udało i wszystko w Podkowie Leśnej przekazałem

prof. Kolankowskiemu. O dalszych losach tego zespołu poinformował mnie doc. dr Jan Wegner, kurator Muzeum w Nieborowie i Arkadii, w słowach następujących:

„Po upadku Powstania Warszawskiego zamieszkał w Łowiczu, w naszym domu przy Rynku Kilińskiego 4, prof. dr Ludwik Kolankowski wraz ze swoją rodziną. Z Łowicza kilka razy wyjeżdżał do Podkowy Leśnej, gdzie kontaktował się z prof. Lorentzem, który organizował akcję ratowania mienia kulturalnego, ocalałego w Warszawie z pożogi wojennej. Któregoś dnia powrócił do Łowicza z kilkoma — jak się okazało — niezwykle cennymi paczkami. Pokazał mi ich zawartość. Był tam *Mszał tyniecki*, *Kronika* Galla z własnoręcznymi marginesowymi uwagami Długosza, dalej rękopisy *Krzyżaków* Sienkiewicza i *Faraona* Prusa. Pamiętam, że był i maszynopis pracy prof. Kętrzyńskiego o imionach Piastów. Następnego dnia wybraliśmy się na plebanie do ks. dziekana Edwarda Kawińskiego, proboszcza parafii Kolegiaty Łowickiej, ażeby omówić z nim sprawę najlepszego zabezpieczenia wspomnianych wyżej dzieł, ponieważ działania wojenne trwały dalej. Ks. E. Kawiński, który zabezpieczył już wiele skarbów kultury polskiej i przygarnął zbiory Muzeum Łowickiego, umieszczając je w wieżach Kolegiaty i w kościele pijarskim, chętnie zgodził się na przechowanie uratowanych z Warszawy obiektów. Wraz z prof. Kolankowskim przynieśliśmy na plebanie *Mszał*, *Kronikę*, rękopisy Sienkiewicza i Prusa oraz maszynopis prof. Kętrzyńskiego. Kilka dni później ks. Kawiński zaprowadził nas do Kolegiaty i pokazał nam miejsce w nawie bocznej, gdzie pod posadzką w krypcie prymasa Jana Lipskiego ukrył przekazane mu rękopisy. Wszystko zostało umieszczone przez ks. Kawińskiego w dużej puszcze, wykonanej z blachy cynkowej i osobiście załutowanej przez niego w obecności zaufanego zakrystiana Rowińskiego. Po zakończeniu działań wojennych w lutym 1945 r. ukryte rękopisy i maszynopis zostały wyjęte ze skrytki i przekazane prof. Kolankowskiemu. Któregoś dnia w Łowiczu zatrzymał się Jan Zamoyski, ostatni ordynat i właściciel Biblioteki. Byliśmy razem z prof. Kolankowskim i z nim na wspólnym obiedzie. W czasie rozmowy powiedział: Sprawdziła się przepowiednia, która przekazywana była w naszej rodzinie, że ordynacja zaczęła się od Jana Zamoyskiego i na Janie się skończy. Ja jestem ostatnim.”

W listopadzie zwróciła się do mnie Maria Dąbrowska i Anna Kowalska, zamieszkałe wówczas w Żółwinku obok Podkowy Leśnej. Zapytywały, czy mógłbym wywieźć rękopisy dzieł Ludwika Krzywickiego, *Pamiętników* Stanisława Stempowskiego oraz ich własnych prac, schowanych w piwnicy domu przy ul. Polnej 40. Wielkie paki wszystkich rękopisów przekazałem im w najbliższych dniach w kawiarni u p. Sucheckiej. Maria Dąbrowska, bardzo tym uradowana, żałowała, że nie zabrałem jeszcze maszyny do pisania, bo jest jej konieczna do pracy. Z pewnym ociąganiem się dostarczyłem jeszcze do Żółwinka w następnych dniach i maszynę do pisania z piwnicy na ul. Polnej. W artykule *Moja pierwsza wędrownica do Warszawy*, zamieszczonym w nr 2 tygodnika „Warszawa” z 16 kwiet-

nia 1946 r., wspominała potem Maria Dąbrowska o przypadkowym spotkaniu w Skierniewicach na stacji 3 lutego 1945 r.: „Przystaję w miejscu, gdzie w listopadzie poprzedniego roku czekałam z Anną, kiedy wiozłyśmy z Podkowy Leśnej do Dąbrowy nasze ocalone przez dyrektora Lorentza rękopisy.” Pragnąc dostać się do Warszawy, wobec trudności na kolei, obie panie rozglądały się za samochodem. Na szosie stała ciężarówka, przy niej oficer. Gdy Maria Dąbrowska podeszła do niego, podając swe nazwisko i zawód pisarki, oficer odpowiedział: A to świetnie, bo myśmy właśnie panią szukali. Tam w aucie jest i dyrektor Lorentz. W ciężarówce były i inne osoby — Elżbieta Barszczewska, Marian Wyrykowski, Jarosław Iwaszkiewicz i Aleksander Rafałowski. Dąbrowską i Kowalską przewieźliśmy do Warszawy do Muzeum Narodowego, gdzie otrzymały zapomogi w złotych już „lubelskich”. W później napisanym wspomnieniu *Pielgrzymka do Warszawy*, zamieszczonym w zbiorze *Gwiazda zaranna*, pisze Dąbrowska, że spotkanie nastąpiło w Pruszkowie, ale zaszła tu pomyłka. Było to właśnie w Skierniewicach. W obu wspomnieniach zapisała jeszcze Maria Dąbrowska, jak za pierwszym pobytem w Warszawie odwiedziła grób swej siostry, Jadwigi Szumskiej, na podwórzu domu przy ul. Mokotowskiej 48, w którym kiedyś mieszkał J. I. Kraszewski. Grobów było ponad setka: „Staję przy mogile z krzyżem, na którego ramionach wypisane są trzy nazwiska. Nazwisko mej siostry tak już stare i zamazane przez słotę, że z trudem je odczytuję. Pod «jej» ramieniem krzyża gałązka tui zatknięta w śnieg przez dyrektora Stanisława Lorentza, który na moją prośbę odnalazł tę mogiłę jeszcze w grudniu.”

Żandarm dopomagał mi bardzo uprzejmie w różnych okazjach. Było tak i wtedy, gdy na prośbę Ewy Śliwińskiej postanowiłem wywieźć jej prace graficzne z piwnicy domu przy ul. Piusa XI. Prace te były bardzo aktualne, bo przedstawiały Warszawę pod okupacją i miały charakter antyniemiecki — były tam ruiny ze swastykami, ogródki z trupimi czaszkami SS itp. Gdy tylko wyniosłem tekę z podziemi, dałem ją do niesienia memu żandarmowi z prośbą, by mi pomógł, bo czuję się bardzo osłabiony. Wywieźliśmy razem z nim tekę, którą w willi Mieszkowskich doręczyłem autorce rysunków. We wspomnieniach Czesława Gutrego, zamieszczonych w nr 9/10 „Bibliotekarza” z r. 1957, znajduje się wzmianka o podobnym wypadku. Przed Bożym Narodzeniem 1944 r. żandarm Galuscha niósł mu od placu Napoleona do Biblioteki Uniwersyteckiej prasę konspiracyjną, którą wydobył z podziemi domu przy ul. Boduena, gdzie mieszkał przed Powstaniem.

Zapamiętałem jeszcze, że odnalazłem i wywiozłem wtedy z Warszawy zbiory z okresu Wielkiej Emigracji Ludwika Gocla z ul. Inflanckiej przy fortach Cyta-
deli, wskazane materiały z biblioteki chińskiej i drzeworyty chińskie ze zbiorów prof. Witolda Jabłońskiego, rękopis III tomu *Urbanistyki* prof. Tadeusza Tołwińskiego, tłumaczenia Platona prof. Władysława Witwickiego (egzemplarz *Rzeczypospolitej*, wydrukowanej zaraz po wojnie, mam z jego dedykacją), jakieś rękopisy Zofii Nałkowskiej, rękopisy Edwarda Kozikowskiego z jego mieszkania

przy ul. Widok, wskazane przez Jarosława Iwaszkiewicza. Z Żoliborza, ze „szklanych domów” przy ul. Krasińskiego 16 m. 32, wywoziłem maszynopisy prac prof. Marii Ossowskiej: *Podstawy nauki o moralności* — wydrukowanej w Szwecji w r. 1947, i *Motywy postępowania*, które ukazały się w kraju w r. 1949.

Trudniej było wywozić dzieła sztuki. Przewoziłem je w miarę możliwości do Muzeum Narodowego i tu magazynowałem. Właściciele odebrali je po wyzwoleniu. Wyjątkowo przewoziłem mniejsze z nich do Podkowy Leśnej. Uległem jednak naleganiom Alfonsa Karnego najpierw, by mu przewieźć jego głowy, odlane w brązie, z piwnic przy ul. Złotej do Muzeum, a potem — by je wywieźć i do Podkowy Leśnej. Byłem już wtedy, gdzieś w połowie grudnia, bardzo rozzuchwalony, bo wszystko mi się doskonale udawało. Zacząłem głowy wywozić, ładując i ukrywając je przy pomocy Karnego, który dzielnie współpracował z nami w Muzeum. W razie wpadki dodatkową sytuacją obciążającą był materiał, z którego wykonane były głowy — brąz, metal kolorowy. Któregoś dnia, gdy już sporo rzeźb wywoziłem, omal nie było katastrofy. W czasie rewizji przy Räumungsstabe, gdy siedziałem na głowie Solskiego, pokrytej jakimiś szmatami, żandarm kazał mi wstać, odchylił szmaty i z triumfem wykrzyknął:

— A to co?

Uratował mnie błyskawiczny refleks. Odpowiedziałem z przekonującym zdumieniem, że mnie o to zaczepia:

— Der Führer.

Istotnie, leżąca głowa Solskiego w półmroku mogła uchodzić za głowę Hitlera. Żandarm zasalutował, powiedział coś w rodzaju: „*ja, ja*” — i spokojnie pojechaliśmy dalej. Dopiero poza granicami miasta, gdy już byliśmy bezpieczni, zaczęło mi się ze strachu robić zimno i gorąco. Sol ski wyjeżdżający z Warszawy jako Hitler — tak mi się to podobało i tak przy tym byłem przygodą podniecony, że wieczorem wszystko dokładnie opowiadałem znajomym w kawiarni u Sucheckiej. Było to dość nieopatrzone, bo już na drugi dzień powtarzano to, jako doskonały kawał, w całej Podkowie Leśnej. Musiałem błagać, by zaprzestano, bo mogła taka historia przedostać się i do Niemców.

Z Karnym miałem dość zabawną historię i innego typu. Jak już wspominałem, ustaliliśmy, że niczego — poza wyznaczonym mieniem kulturalnym — nie wolno wywozić. Karny nie mógł się powstrzymać, by do pustych wewnątrz głów brązowych ładować swoje stare spodnie i inne części garderoby. Nieświadomy — wywoziłem mu je do Podkowy Leśnej, sam w ten sposób łamiąc zakaz. Ale gdy się o tym dowiedziałem, potraktowałem tylko jako dowcip, bo chodziło o rzeczy osobiste bez większej wartości materialnej.

W grudniu pewnego dnia pojechałem na cmentarz Biblioteki Krasińskich przy ul. Okólnik. Na dziedzińcu w śniegu znalazłem 126 rękopisów, z niewiadomych względów wyrzuconych widocznie przed czy w czasie pożaru. Wywieźliśmy je do Piotrkowa. W maju 1945 r. sam przywiozłem je znów do Warszawy.

Największym wydarzeniem było dla nas uratowanie i wywiezienie do Pruszkowa zbiorów Norwidowskich z piwnic domu przy ul. Mazowieckiej, w którym mieszkał Miriam — Zenon Przesmycki. Dokonała tego ekipa pracująca w Bibliotece Uniwersyteckiej, w której uczestniczyli prof. Tadeusz Makowiecki, prof. Wacław Borowy, dr Bohdan Korzeniewski, Stanisław Piotr Koczorowski. Jak ocalono norwidiana, opisali uczestnicy akcji. Było to 6 i 7 stycznia 1945 r. W następnych dniach byłem w mieszkaniu prof. Borowego w Żbikowie. Jak relikwie pokazywał mi *Vade-mecum*, inne rękopisy. Już je rozłożono, bo rozpoczęto inwentaryzację i prowizoryczną konserwację. Było w tym coś wstrząsającego, co na zawsze zapamiętałem.

Do Warszawy wyruszały codziennie 2 lub 3 samochody ciężarowe z naszymi pracownikami. Po powrocie ja odbywałem bardziej poufne rozmowy w mieszkaniu, a szerokie kontakty umiejscowiłem w kawiarni Sucheckiej, która stała się niemal mym biurem. Stało się to powszechnie wiadome i w godzinach wieczornych czekali tam na mnie zawsze interesanci. W popowstaniowej podwarszawskiej stolicy, w Podkowie Leśnej, jej głównym ośrodku, działało w tym czasie mnóstwo prywatnych restauracji, barów i kawiarni. Spotykali się tam i handlujący, i aferzyści, i działacze konspiracyjni. Kawiarnia Sucheckiej miała zupełnie odmienny od nich charakter. Istniała dawniej, na ścianach wisiały obrazy jej krewnego, Wacława Wąsowicza, m. in. *Huculi*; obraz ten wraz z paru innymi zakupiłem po wojnie dla Muzeum Narodowego. Kawiarnia powstała na początku okupacji przy dawnej wypożyczalni książek. Suchecka była bardzo uczynna, po Powstaniu dzielnie dopomagała pieniędzmi, ubraniem i jedzeniem uchodźcom z Warszawy. Spotykali się tu głównie przedstawiciele inteligencji warszawskiej, wymieniający przy czarnej kawie najnowsze informacje. Alkoholu nie było.

Konferencje w mieszkaniu przeciągały się do godziny policyjnej. Kiedyś byli u mnie Czesław Wycech i Wacław Schayer. Rozmawialiśmy długo, stało się późno, i musieli u nas zanoć. Tymczasem był kłopot z miejscem. We trzech nocowaliśmy w kuchence pod stołem, na jednym sienniku, pokrytym zamiast prześcieradła jakimś różowym materiałem.

Przed Bożym Narodzeniem odbyła się u nas narada na temat odbudowy Warszawy z udziałem wielu architektów. Obecny był Władysław Araszkiewicz i wiceprezydent Stanisław Podwiński. Na święta urządziliśmy duże spotkanie dla zaprzyjaźnionych współpracowników w naszych akcjach. Jego atrakcją był śpiew pani Podwińskiej. Jedna z pieśni, szczególnie aktualnych, może dlatego utkwiła mi w pamięci. Wzywała, by sadzić róże nawet wtedy, gdy szaleją burze, bo róże sadzić mamy nowemu światu. Inną atrakcją były wyczyny gimnastyczne Alfonsa Karnego, który chodził na rękach.

Na święta dostałem kartkę z życzeniami od Janusza Radziwiłła z Nieborowa. Spotykałem się z nim parę razy w czasie okupacji w sprawach konspiracyjnych, ostatni raz w lipcu 1944 r. w pałacu przy ul. Bielańskiej. W świetle rozwijającej się

sytuacji prosił, bym się zajął uratowaniem Nieborowa, bo jemu samemu będzie to pewnie trudno. Teraz przypominał mi obietnicę i pisał, że pewnie niedługo nadejdzie czas, gdy sprawa stanie się aktualna.

Ostatni raz zebraliśmy się w Pruszkowie 15 stycznia 1945 r. Polecono nam wracać do domu. O terminie wznowienia akcji mieliśmy być zawiadomieni.

17 stycznia około 11 rano zobaczyłem w Podkowie Leśnej pierwsze czołgi radzieckie.

V. W POLSCE LUDOWEJ

Dzień 17 i 18 stycznia poświęciłem na kontaktowanie się z moimi współpracownikami z akcji podziemnych w czasie okupacji. W nowej sytuacji wielu ludzi było zdezorientowanych. Informowałem, że zaraz udaję się do Muzeum Narodowego, by niezwłocznie przystąpić do jego odbudowy. Zawiadamiałem, że — w moim przekonaniu — każdy powinien zgłosić się do swej dawnej instytucji i natychmiast przystąpić do współudziału w odbudowie kraju.

18 stycznia znalazłem się w Muzeum Narodowym. Już w pierwszych dwóch dniach po wyzwoleniu Warszawy przybyło na teren Muzeum pierwszych ośmiu pracowników, którzy tu dotarli z okolic miasta i objęli opiekę nad zrujnowanym gmachem i resztkami zbiorów.